

Damian Jankowski

Rubi

...zauważył, że facet w k...
...ed nami miał na...
...cne marki Ho...
...Obraz ten, je...
...narna reprodukcja,
...siał w Potoku u dziadków...
...atrzę czasem na mężczyznę, kto...
...edzi do nas tyłem, i zastanawiam...
...Pani zdaniem na kogoś czeka? A jes...
...nikt nie przyjdzie? Jeśli to właśnie...
...główne złudzenie życia? Że czeka...
...na coś, co nigdy nie nadchodzi.
...Miłość, spełnienie, lepszą pracę, lepszy...
...jutro. Aż podchodzi...
...az zam...



FOT. MICHAŁ GOŁĘBIEWSKI

Damian Jankowski, rocznik '92.

Od świtu do zmierzchu, a czasem nawet dłużej, jestem redaktorem „Więzi”, odpowiadam w niej za dział kulturalny. Kocham żyć, a poza tym pizzę, kino Martina Scorsese i Paola Sorrentino, serial *The Office* (wersję amerykańską), piosenki Boba Dylana i Joni Mitchell, *Sto lat samotności* oraz późną poezję Jarosława Iwaszkiewicza. Właściwie ciągle czytam, oglądam, słucham. Staram się chłonąć świat. Z tego chłonięcia powstają teksty dla „Więzi”, czasem wywiady-rzeki lub wiersze, teraz zupełnie nowa dla mnie forma, czyli powieść.

Damian Jankowski

Rubi

Lauka
2025

Copyright © Damian Jankowski, 2025
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2025

Wykorzystywanie całości lub części publikacji jako danych wejściowych lub korpusu treningowego w modelach generatywnych, które mogą tworzyć tekst, obrazy lub inną treść jest niedozwolone bez osobnej umowy z posiadaczami praw.

Wydanie I – cyfrowe
Pruszków 2025

ISBN 978-83-68015-04-1
[fragment]

Nie ma nieba ni ziemi, otchłani ni piekła,
Jest tylko Beatrycze. I właśnie jej nie ma.

Jan Lechoń, *Spotkanie*

Znała pani Kamila? No tak, przecież wracamy z Wiagar, pani najpewniej też się tam wychowała. Chodziła pani z nami do szkoły? Aha, do innej, ale spotkaliście się na domówce w czasach liceum. No to musiała pani mieć szczęście – być akurat na jednej z dwóch domówek, na które w swoim życiu trafił Kamil.

Nie to, że nie lubił ludzi. Lubił, nawet bardzo. Ale jakby to powiedzieć, pojedynczo. Przegadać z kimś wieczór lub nawet całą noc, o tak, jak najbardziej. Ale żeby siedzieć w gronie dziecięciu osób i się przekrzykiwać albo rozmawiać o banałach – co to, to nie. Zwłaszcza w późniejszym okresie, gdy się ożenił i miał córkę, mówił mi: wciąż się umawiasz na wyjścia ze znajomymi, a mnie wystarczy posiedzieć wieczorem w domu, tyle się dzieje. Miał rację. Albo inaczej: poznał rację przypisaną sobie. Ktoś będzie ciągle niespokojnym duchem, który nie potrafi usiedzieć na miejscu, a ktoś drugi woli swoje cztery ściany, przed snem czytanie książek dziecku i oglądanie serialu z żoną. Kamil był tym drugim.

Umberto Eco, ten od *Imienia róży*, na starość miał przyznać, że z rzeczy świata interesuje go już tylko zabawa wnukiem. Mój kuzyn tak myślał od zawsze. Stwierdził raz, że trzydziestka, kiedy życie człowieka się uspokaja, to najlepszy moment. Nie zgadza się pani z tym? Że uspokaja się? Przynajmniej trochę. Niezależnie

od płci. U kobiet i u mężczyzn. No nie wiem, pojawia się pewna stabilizacja. Albo związek, albo dzieci. Albo jedno i drugie. Nie zawsze, tak. Ale zazwyczaj. No, a Kamil żył, jakby ciągle miał trzydziestkę. Jakby się urodził z trzydziestką na karku.

Mieszkaliśmy przy Słowackiego. Tak, taki śmieszny blok w połowie wzgórza. Przed oknami stroma droga w kierunku centrum miasta i gabinetu ojca. Z drugiej strony sklepy i szkoła. Ciągle albo schodziliśmy w dół, albo wspinaliśmy się w górę.

Nasze mieszkania były naprzeciwko siebie, dosłownie naprzeciwko. Drzwi w drzwi. Po lewej stronie pierwszego piętra w drugiej klatce mieszkaliśmy my, czyli rodzice, Ania, moja siostra, i ja. Po prawej: wujek, ciotka, Kamil i Mariusz, jego starszy brat. Wesoła gromada, osiem osób. W zerówce nauczycielka zapytała naszą klasę, co każde z nas najbardziej lubi robić. Kamil odpowiedział, że siedzieć w domu. Sala parsknęła śmiechem.

Byliśmy z tego samego roku. Ja z lutego, on z maja. I w tym samym roku urodzili się Ania i Mariusz, tyle że pięć lat przed nami.

Niby żyliśmy oddzielnie, ale nie było sztywnego rozgraniczenia między naszymi domami. W czasach, kiedy ciotka pracowała w przedszkolu, a mama była na miejscu, czyli do końca naszej podstawówki, obiady w tygodniu jedliśmy wspólnie. To znaczy wspólnie, ale nie wszyscy: ja z Kamilem, mamą, wujkiem Olkiem i tatą, którzy około czternastej przybiegali na przerwę z pracy. „Tamta młodzież”, jak ich określała ciotka, czyli Anka i Mariusz, najczęściej jadła na stołówce, wracała znacznie później, prześlizgiwała się do swoich pokoi.

Jak odbywały się imieniny kogoś z pokolenia rodziców, kilka razy do roku, dom stawał się ogromny. Rozsuwano stół, by goście mogli usadzić się na całej długości dużego pokoju. Roilo się od kolejnych ciotek i wujków. Ciotki Marzenki, która pytała mnie,

czy nie mam jakiejś dziewczyny na oku. W wieku jedenastu lat. Wujka Zbyszka, który przychodził do mojego pokoju, dosuwał sobie krzesło do biurka, przy którym siedziałem, i miał prośbę, zawsze tę samą. Wpisz mi, w tym no tu – pokazywał na komputer – nowego golfa. Wujek wciąż szuka samochodu? Kupuję, już kupuję, za kilka tygodni będzie u mnie, bez dwóch zdań.

Nie lubiłem tych spędów, bo wszyscy głupieli. Dorośli, zwłaszcza dorośli. Ten się upił i gadał bzdury. Tamten zaczął najmłodszych przy stole. I to niezależnie, czy najmłodszy miał lat pięć czy dwadzieścia. W jaki sposób? Siadał obok ciebie taki wujek i co chwila coś komentował. Weź sobie sałatki. Nie chcesz wędliny? Co tak słabo jesz, chłopak, nie będziesz miał siły. A mężczyzna musi mieć krzepę. Musi. Inaczej co z niego za facet? Tego typu mądrości. Najczęściej obiektem ataku byłem ja lub Kamil, może nawet częściej on. Ale miało to swoją granicę. Po długich minutach męki słyszało się z drugiego końca stołu głos mamy lub cici Zosi. A dajże mu spokój! Już, pogadałeś sobie?

Obie bywały prawdziwym ratunkiem. Raz podczas takich imienin chciałem włożyć colę do lodówki. Do szuflady w drzwiach. Tyle że szuflada wypchana była już sokami i słoikami. Kiedy próbowałem wcisnąć butelkę, cała zawartość wyładowała na podłodze. Na domiar złego lodówka znajdowała się *vis à vis* pokoju, gdzie siedzieli goście. O nie, to nie był śmiech, to był ryk. Stałem rozdziawiony, z butelką w ręku. W mgnieniu oka znalazły się przy mnie mama i ciocia. Pierwsza sprzątała szkło, druga wyciągnęła mopa. I wzięła ode mnie colę. No już, nic się nie stało, idź do dzieci.

Przychodziły, czemu miałyby nie przychodzić. Do naszej dwójki dołączała jeszcze trójka, dwóch chłopców i dziewczynka, dalekie kuzynostwo. A do Anki i Mariusza – kuzynka w ich wieku.

Zamykali się wtedy w jednym pokoju, do którego my, młodszy, nie mieliśmy wstępu. Podglądaliśmy ich przez dziurkę od klucza. Tyle że oni nic ciekawego nie robili. Siedzieli na kanapie lub po turecku na ziemi. I gadali, gadali. Bile cztery godziny potrafili gadać.

Choć trzeba oddać naszemu starszemu rodzeństwu, że zdarzało im się integrować z resztą domowników. Był czas narad, w których wszyscy uczestniczyli, Ania i Mariusz też. Siedzieli wtedy w rogu kuchni, właściwie w ciemności.

Przykład takiej narady? Jakichś dwóch chłopców zaczęło w szkole gnębić Kamila, że chudzielec i okularnik. Rozrzucali mu zeszyty, zabierali kanapki. Czy go broniłem? Tamci byli o rok czy dwa lata starsi od nas. Zwyczajnie się bałem. Raz rzuciłem w ich kierunku, kiedy zauważyłem, że dokuczają kuzynowi: odwalcie się od niego. Ale pod nosem, tak, by niewiele słyszeli. Co ty tam mruczysz? Nic, nic, ja nic nie mówiłem. Po tygodniu zgłosiłem sprawę mamie. Ona najpierw porozmawiała z ciocią Zosią, potem ciotka wzięła na rozmowę Kamila, a potem usiedliśmy wszyscy wieczorem za stołem. Powtórzyłem wszystko, co mówiłem mamie. Kamil dopowiadał tylko krótkim „tak, tak”. Ocierał łzy. Ruszyła burza głosów. Co to, nie ma siły na te chłopaczyska? Pójdę jutro do szkoły, porozmawiam sobie z wychowawczynią. Pokaż mi ich rano, jak będą szła obok szkoły. Może trzeba ich zajeść?

Ostatnie zdanie wypowiedział Mariusz. Ciotka zareagowała od razu. Co ci mówiłam? Mówiła, żeby nie przeklinać w tym domu. To ważne, „w tym”. Bo u babci Wandy, w Potoku, można było. To znaczy: nie było rady, bo sama babcia przeklinała. Mój Boże, jeszcze jak, nie uwierzyłaby pani, trzeba byłoby to usłyszeć na własne uszy. Osiemdziesięciolatka, która w zdaniach zamiast przecinka używa słowa „kurwa”, notorycznie wzdycha

„ja pierdołę”, a rządzących, niezależnie od politycznych zmian, nazywa „skurwysynami”.

Choć to określenie miało u niej pieszczotliwe zabarwienie. Pamiętam, jak odwiedziłem ją z Kasią, wtedy, na studiach, moją dziewczyną. Babcia się przygotowała. Ubrała w odświętną sukienkę. Wyciągnęła biały obrus. Upiekła dwa ciasta – szarlotkę i makowiec. A skąd, Kasiu, pochodzisz? Kim są twoi rodzice? Wszystko chciała wiedzieć. Kiedy przyszło do rozmowy o mnie, rzuciła: jest kochany, odwiedza babcię, nie mogę złego słowa powiedzieć. Dobry skurwysynek.

Gdy zjawiała się u niej moja siostra z dziećmi, babka była w siódmym niebie. Raz przez całą wizytę trzymała roczną wnuczkę na kolanach. Starszy wnuk stał obok, dostając co chwila cukierka. Babka jakoś tak niefortunnie przekazała dziewczynkę rodzicom, że ta uderzyła nogą o kant stołu. Ale zajebała! Jak na złość w tym ogólnym zamieszaniu jej brat wyłapał akurat te słowa. Potem przed snem pytał mamę: co to znaczy „zajebać”? Nie wiem, co odpowiedziała moja siostra. Pewnie jakoś wybrnęła.

A tak, co z tą naradą w sprawie Kamila? Mariusz dostał burę za przekleństwo. Ale i zgodę, że następnego dnia przejdzie na przerwie ze swojego gimnazjum do naszej podstawówki, dzieliła je ulica. Ja miałem mu wskazać oprawców.

Nie, nie pobił ich. Po prostu usiadł z nimi na parapecie i porozmawiał. Wy zaczepiacie mojego brata? Trenujecie coś? Nic? To jak chcecie ze mną wygrać? Od lat chodzę na taekwondo. Dręczyciele byli przerażeni, w następnych latach omijali nas szerokim łukiem.

Mniej więcej rok później Kamil długo chorował i siedział w domu, a do mnie zgłosił się jeden chłopak ze starszej klasy. Twierdził, że pomazałem mu plecak markerem. Nic z tych

rzeczy. Ale on wiedział swoje. Przekazał mi, że po lekcjach bijemy się za szkołą. A gdybym chciał stchórzyć, on i jego koledzy nie pozwolą na to. Będą czekać pod bramą.

Faktycznie, czekali. Wychodzę i widzę tłum. Mój przeciwnik, jego sekundanci i grupa gapiów. Nie ma rady, trzeba iść z nimi za murek. Ściągamy plecaki, wokół nas powstaje okrąg, wolna przestrzeń. Tamten chłopak się rozgrzewa, ja stoję i patrzę na niego. Jest ze dwa lata starszy, wyższy, większy, nie mam szans. Ustawiamy się naprzeciwko siebie. Zaczyna się walka. Zamykam oczy, zaciskam gardę, gotowy przyjmować ciosy. Cisza trwa długie sekundy. Nagle słyszę jakiś popłoch. Ktoś chyba obrywa i upada. Otwieram oczy. Mariusz siedzi na moim przeciwniku i okłada go pięściami. Po chwili wracamy do domu. Czemuś nie powiedział, że masz problem? Nie zdążyłem. Dobrze, że ja zdążyłem. Akurat skończył lekcje i zauważył tłum.

Szkoda, że kilka lat później nie zdołał nam pomóc. Nie mógł, nie było go z nami, wyjechał już z Wiagar. Wracaliśmy grupką ze studniówki. Kamil, ja, dwie nasze koleżanki. Kiedy je odprowadziliśmy, natknęliśmy się na dwóch gości. Jeden z nich był pod wpływem, bodaj dopalaczy. Bez słowa rzucił się na nas. Ogromny facet. Zanim kolega go odciągnął, zdążył nas solidnie skopać. Sorry za niego, spierdalajcie stąd, szybko. Pamiętam tamten ból. Uczucie, że nie damy rady szybko. Że w ustach mi gorąco, leje się z nich krew. Że Kamil nie może otworzyć oka. Że obu nas rwą barki i głowy. Prawie przez tydzień leżeliśmy w łózkach. Ciotka chciała iść na policję. Nawet Mariusz zadzwonił. Musiał się upewnić. Na pewno nie pamiętacie twarzy? Wujek powtarzał: oj, jak ja bym z wami był. No, ale go nie było. Nikogo nie było. Zazwyczaj nikogo wtedy nie ma. Teraz tak samo: niby w tym sklepie wokół kuzyna kręciło się całkiem sporo klientów. Ale

czy ktoś powstrzymał napastnika, ktoś wyrwał mu nóż? Nikt, dosłownie nikt. Wzdrygam się, gdy o tym myślę...

Wracam jeszcze do czasów szkolnych. Mój najgorszy powrót rozegrał się kiedy indziej, nieco wcześniej niż studniówka. Kamil oczywiście nie poszedł na połowinki, imprezę organizowaną, kiedy zostaje połowa czasu do końca liceum. Ja poszedłem i to było moje nieszczęście. Wszystko wyrwało się spod kontroli. Pamiętam, że znajomy miał pod stołem wódkę, którą rozlewał do plastikowych kubeczków. Musiałem wypić za dużo. Dużo za dużo. Przynieśli mnie do domu. Tyle że zapukali do niewłaściwych drzwi. Otworzyła ciotka. A co to, to nie do nas! Bogu dzięki zjawił się wujek. Zosieńko, rodzice nie mogą go zobaczyć w takim stanie. Wujostwo przyjęli mnie na noc, spałem na karimacie w przedpokoju. Ciotka jeszcze złapała na klatce Anię, która wszystko widziała. Powiedz mamie, że twój brat przyszedł po połowinkach do Kamila i tak długo opowiadał, że zostanie na noc. Siostra skłamała w domu. I uniknąłem bury.

Nigdy nie mieliśmy przesadnie dobrych relacji. Czasem ktoś mówi: moje rodzeństwo to dla mnie najbliżsi przyjaciele. Zazdroszczę. My z Anią nie zbudowaliśmy silnej więzi. Że różnica wieku? Niby tylko pięć lat, choć w dzieciństwie to nieskończoność. Pewnie ma pani rację.

Źródłem mogło być jedno zdarzenie. Zimowe. W taką zimę jak to dawniej bywało. Z obfitym śniegiem. Dekady temu. Dzień przed feriami. Wracając do domu, zauważyłem siostrę. Szła z koleżanką. Miałem wtedy osiem lat, one po trzynaście. Podbiegłem bliżej. I zatrzymałem się. Czterech chłopców z ich klasy urządziło zasadzkę. Anka w nią wpadła. Tamta dziewczynka zdołała z piskiem uciec, ale na moją siostrę poleciał grad śnieżek. Co gorsze, kiedy się przewróciła, przywódca bandy podszedł i natarł

jej twarz śniegiem. Płakała. A ja stałem jak kołek. Kiedy odeszli, chciałem pomóc jej wstać. Nie odzywaj się. Ona nie odzywała się do mnie przez dwa tygodnie.

Zaczęliśmy ze sobą rozmawiać, a nie na siebie warczeć, właściwie dopiero, gdy zbliżałem się do trzydziestki. Wcześniej ona miała swój świat, ja swój. Te światy się ze sobą nie spotykały.

Sprzed samodzielnego życia w głowie mam jedną serdeczną scenę z Anką, właściwie tylko jedną. Dostałem się na studia, przyszedł list, ona akurat przyjechała do rodziców. Mama pokazywała wydruk wszystkim naokoło. By się pochwalić synem. Gratulacje, młody, daj rękę. Siostra namalowała mi markerem na nadgarstku numer, który zająłem na liście przyszłych studentów. Strasznie mnie to wtedy rozbawiło, wybuchnąłem śmiechem. Sam nie wiem dlaczego.

Na jej ślubie wróciłem do sytuacji ze śniegiem. No co ty, już tego nie pamiętam, zapewniła. Wszystko się zmienia.

Nie jestem pewien, czy wszystko. Przy Słowackiego była co najmniej jedna stała w niestałym świecie: mecze. Wujek Olek z ojcem nałogowo je oglądali i namawiali do tego resztę. Fani futbolu. Misjonarze. Wyobraża pani sobie, że kiedy odbywały się mistrzostwa w Korei i Japonii, obaj urywali się z pracy na co ważniejsze mecze, rozgrywane w środku dnia lub przed południem? Polska – Portugalia. Anglia – Brazylia. Te z nimi oglądałem, to na pewno. Zobacz, jaki zdolniacha ten chłopaczek z jedenastką na plecach, jak huknął za kołnierz angielskiemu bramkarzowi. Komu kibicujesz, synku? Argentynie? Naszym? Chłopie, jedni i drudzy za chwilę wrócą do domu! A gdzie tam ci nasi się nadają. Orły Engela. Orły – ta, jasne, szybko przyfruną do Polski.

Z tym urywaniem się z pracy była zabawna historia. No bo zamknąć na trzy godziny gabinet dentystyczny lub zakład

zegarmistrzowski to prosta sprawa. Ale żeby zwalniać dzieci z lekcji, bo trwa mecz – tego już mama i ciocia pojąć nie mogły. Akurat obie weszły do domu, kiedy rozgrywano jedno ze spotkań. Jakby się zmówiły. Co tu się wyprawia? Czemu chłopaki nie w szkole?! Awantura na całe osiedle.

Dwa bloki od nas ktoś w sportowym szale wyrzucił telewizor przez okno. Nie widziałem tego, bo już zaczęły się wakacje, które spędzałem u dziadków. Koledzy opowiadali. Ponoć widzieli maleńkie czarne części roztrzaskane na bruku. Co tak wnerwiło sąsiada? Nie, mecz nie. Chodziło o Tour de France. Ludzie mają swoje fiksacje.

Kilka razy oglądałem ten wyścig. Ale nigdy nie rozumiałem fenomenu kolarstwa. I chyba nie zrozumieć. Powinno się włączać transmisję na ostatnie trzydzieści minut, tak myślę. Wcześniej człowiek gapi się z lotu ptaka, jak kilkunastu czy kilkudziesięciu facetów jedzie wśród francuskich wsi. Trzeba lubić tę nudę połączoną z patosem sprawozdań. Mont Ventoux. Potem królewski etap. I finał na Polach Elizejskich. Jeden ucieka, wygrywa etap, ale nie zdobywa koszulki lidera. Deklaruje, że mu się uda. Będzie próbował, dopóki nie umrze.

Piłka to jednak całkiem inny rodzaj spektaklu. Na ile rozumiał go mój ojciec? Jestem przekonany, że był znawcą muzyki. Ale czy futbolu, mam wątpliwości. Razem z bratem kochali AC Milan, nic to pani nie mówi? No dobrze, wtedy, na początku lat dwutysięcznych, wielbić Rossonerich było łatwo. Dwa razy wygrali Ligę Mistrzów, kilka razy dotarli do finału. To jakby kilka lat później kibicować Barcelonie Guardioli lub Hiszpanii del Bosque. Niby można, ale to taki futbol dla niedzielnych kibiców. I tak wygrywają. A wygrywają, to im kibicujemy. Gdy się chciałem podroczyć z ojcem, który akurat tłumaczył, że Milan

jest najlepszym klubem świata, rzucałem: zwłaszcza w dwa tysiące piątym, Dudek mi mówił. Taki mądry jesteś, taki mądry?

Na studiach przez krótki czas interesowałem się historią piłki. Tato, a widziałeś mistrzostwa w osiemdziesiątym ósmym? Triumf Holendrów? Marco van Basten? Wiadomo. A jak wspominasz turniej z siedemdziesiątego czwartego, kiedy Cruyff i koledzy zaprezentowali światu futbol totalny? Wtedy, kochany, łapałem jedynie transmisje radiowe. Czyli nie widziałeś ich gry? Może jeden mecz. Ale wiesz, na czym polega futbol totalny? Pewnie, że wiem. To na czym? Zejdź ze mnie, dobra?

Jednak fakt faktem, że oglądali te mecze, zwłaszcza gdy już były regularnie nadawane w telewizji. Na piłce znał się lepiej wujek Olek, ojciec raczej mu towarzyszył, niż bawił się w analityka. Najczęściej nikogo spoza domowników nie zapraszali do wspólnego oglądania. Rozmawiali. Głównie o tym, co robili w latach swojej wczesnej młodości. O kolegach, którzy wyjechali. Albo którzy się nieszczęśliwie poženili. Z czasem odkryłem, że te mecze łączą braci. Ale scalają też przeszłość z przyszłością, marzenia z tym, co z nich zostało. Jak mówię, świat się zmieniał, a ci dwaj dalej oglądali piłkę. Przez prawie dwie dekady brałem w tym udział. Kiedy trzeba było ojca na coś namówić albo wypuścić wujka, by opowiadał, jak to kiedyś było – wystarczyło przyjść do nich w trakcie meczu. Usiąść, oglądać i słuchać.

Czy Kamil z nami oglądał? Tak, chyba tak, choć się nie pasjonował piłką. Wolał zimę i skoki. Zrób to w domu, nie da rady, mamrotał pod nosem zadowolony. Jako jedyny w szkole lubił Schmitta.

No dobrze, zimę wolałem i ja. Kto nie kocha świąt, prezentów, kolęd, tej całej otoczki. Zwłaszcza gdy jest się dzieckiem. Zwłaszcza kiedy się ma dwie prawie identyczne choinki. U nas

i u Kamila. Choinki te, sztuczne, ale piękne, rozłożyste, ubieraliśmy wcześniej, już na początku grudnia. Nie zapomnę grudniowych poranków, kiedy można było sobie leżeć pod choinką. Najlepiej wstać raniutko, przed siódmą, kiedy jeszcze ciemno. I przed tobą godzina, dwie wpatrywania się w zieleń i czerwień, kolor naszych bombek. Poza tym, pani to na pewno pamięta, wtedy wystrój domów był inny niż dzisiaj, bardziej przytulny. Kredensy na całą ścianę, miękkie dywany. U nas czerwone i kremowe. Nie trzeba było brać koca, wystarczyła poduszka, jeśli obok znajdował się grzejnik, odkręcony na piątkę.

Z wszystkich pór roku najbardziej nie znośłem jesieni. Zwłaszcza momentu, kiedy we wrześniu budziliśmy się rano, ubieraliśmy galowo i maszerowaliśmy na rozpoczęcie roku szkolnego. To przeciw naturze. Wiosną wszystko kwitło, lato to wakacje, a jesień – same ulewy, szarugi i przesiadywanie po domach. Ostatnio dzieciaki siostry zapytały, co robiłem pamiętnego jedenastego września. A co miałem robić? Siedziałem zszokowany przed telewizorem. Jak wszyscy. Dosłownie wszyscy: rodzice, ciotka z wujkiem, Ania, Mariusz, Kamil i ja. Nie pokazali *Klanu* ani Teleexpressu.

Dziwna rzecz: gdy przechodziłem do drugiego pokoju, Kamil dotknął mojego ramienia. Co teraz będzie? Do dziś pamiętam lęk w jego głosie. Co teraz będzie? Niezłe pytanie zadane jedenastolatкови przez jego rówieśnika, prawda? Zbiło mnie z tropu, nic nie powiedziałem. Po chwili, już z drugiego pokoju, usłyszałem głos cioci. Nie martw się, synku. Tobie nic nie grozi.

Tamtą sytuację z Kamilem mam teraz przed oczami. Strach i bezradność chłopca. Może nie przypadkiem przypomniałem to sobie akurat dzisiaj. Gdy wracam z jego pogrzebu.



Magdalena Mosiężna

MARYLA I DEBORA

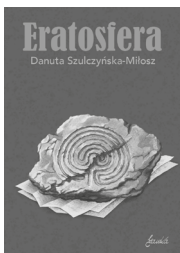
oraz kontynuacje,

czyli **Cień Debory** i **Rozstania Maryli**

Cena okładowa 46 zł

Premiera I tomu maj 2020

Maryla i Debora to pierwszy tom sagi warszawskiej opowiadającej o kilku rodzinach żyjących w stolicy w latach 1937-67, w której kobiety pokazane są jako istoty sprawcze, ale uwikłane w wydarzenia polityczne, wywołane przez mężczyzn. To wojna, powstanie, stalinizm – zjawiska, które nie wykluczają miłości, rodzenia i wychowywania dzieci, prób realizowania się w pracy, nawet jeśli polityka wkracza w życie najbardziej intymne. Olga Wróbel dostrzega w trylogii Mosiężnej ślady inspiracji znanym bestsellerem Margaret Mitchell, do czego przyznaje się sama autorka.



Danuta Szulczyńska-Miłosz

ERATOSFERA

Cena okładowa 49 zł

Premiera listopad 2023

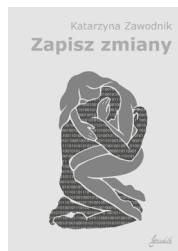
Tytuł tej wielowarstwowej powieści odsyła do muzyki, poezji, grafiki; okładki ilustruje szerszy sposób rozumienia twórczości jako labiryntu emocji i myśli, które odnoszą się do tego, co wspólnotowe i co najbardziej własne w życiu każdego człowieka. Bohaterka prowadzi literackie śledztwo, szuka nieuświadomionych źródeł własnych inspiracji poetyckich, poznaje w ten sposób dramatyczne losy artystów i artystek, w których objawiała się niezwykła siła, wyzwana przez trudne doświadczenia polsko-niemiecko-żydowskich relacji, miłości i zbrodni. Autorka buduje intrygę z precyzją rasowego kryminału, a w opowieści o ludziach i sztuce stać ją na filozoficzną finezję.

Katarzyna Zawodnik

ZAPISZ ZMIANY

Cena okładowa 38 zł

Premiera marzec 2022



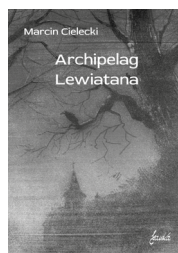
To przejmująca opowieść o świecie, w którym spełniają się marzenia o posłusznych technologiach: ludzie współlistnieją z humanoidami, a nowoczesne urządzenia, wykorzystujące sztuczną inteligencję, sprawiają, że granice między nimi stają się płynne. Pytanie, czy również intymne potrzeby ludzi pozwoli zaspokoić SI i czy człowieczeństwo objawi się w tym sąsiedztwie jako godne, współczujące i uszczęśliwiające. Czy wszystkie istoty – te mniej i bardziej ludzkie – uznają wzajemnie swoje prawa do istnienia. Wyobraźnia Katarzyny Zawodnik, osoby niewidomej od urodzenia, zawdzięczającej wiele współpracy z technologią, pozwala spojrzeć na wykreowaną rzeczywistość z rzadko spotykanej perspektywy.

Marcin Cielecki

ARCHIPELAG LEWIATANA

Cena okładowa 46 zł

Premiera październik 2020



Poeta i subtelny eseista, zafascynowany jednocześnie sztuką popularną, potraktował serio tezę Umberta Eco o płynności granicy między literaturą wysoką i masową – stworzył powieść, w której struktura kryminału przekształca się w traktat o tym, czy słaba jednostka może brać na swoje barki odpowiedzialność za świat i wymierzać sprawiedliwość, kiedy rozpoznaje zbrodnię, której ów świat nie potrafi ukarać. *Archipelag Lewiatana* jest jednocześnie opowieścią o męskości, o przekraczaniu granic, kiedy zawodzi skodyfikowana etyka, a ciało – męskie czy kobiece – staje się posłuszne instynktom. Powieść została doceniona przez czytelników, którzy przyznali jej Wawrzyn Literackiej Nagrody Warmii i Mazur.

Okładka:
Joanna Walczykowska

Zdjęcie autora:
Michał Gołębiowski

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-68015-04-1
[fragment]

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl

Człowiek to nie ekspres do kawy. Nie wystarczy przeczytać instrukcję, by się go nauczyć. Człowieka można niby rozłożyć na części, ale czy można go potem poskładać? Tak całkiem? No nie wiem, śmiem wątpić. Nastroić? Nastroić to można gitarę, a i to raz po raz trzeba poprawiać. Żyjemy, więc się rozstrajamy. Sztuka, by nie rozstroić się tak kompletnie. Spodobała mi się walka, jaką podejmuje bohater-narrator powieści. Poszukuje on sensu poprzez swoje gadulstwo. Próbuje zrozumieć własny los. Żyje, więc opowiada. Opowiada, więc żyje.

Dan-ja

Nie sigma, ale enigma – tak by można określić bohatera, który w powieści Damiana Jankowskiego mówi o ludziach sobie bliskich. Jest wśród nich Kamil, przyjaciel, który zginął i został właśnie pogrzebany. Jest dziewczyna-marzenie, realna i nierealna. Jest babcia Wanda ze swoimi siarczystymi przekleństwami. Mama, ojciec, siostra Ania, wujek Olek i ciocia Zosia okażą się postaciami z krwi i kości – uwikłanymi w barwne relacje wzajemne, wielkie i drobne szczegóły codzienności Wiagar. Wszyscy oni – nazwani i czule przedstawieni – staną się towarzyszami tej podróży z pogrzebu przyjaciela. Ożyją we wspomnieniach i dygresjach o rodzinnych kłopotach, tajemnicach i powtarzanych żartach. Gawęda, podsycana obecnością słuchaczki kierującej samochodem, stanie się podnieętą do pytań najważniejszych. O zagadki losu, odmiany przyjaźni, miłości i śmierci. O to, jak rodzi się człowiek w życiu-podróży-opowieści.



Apeiron



bookieciK

MELANCHOLIA
CÓDZIENNOŚĆ!



ISBN 978-83-68015-04-1



9 788368 015041